



FLOY M. CEBRIÁN

# ŚWIETLIKI

Tłumaczenie z języka hiszpańskiego  
Urszula Gronowska

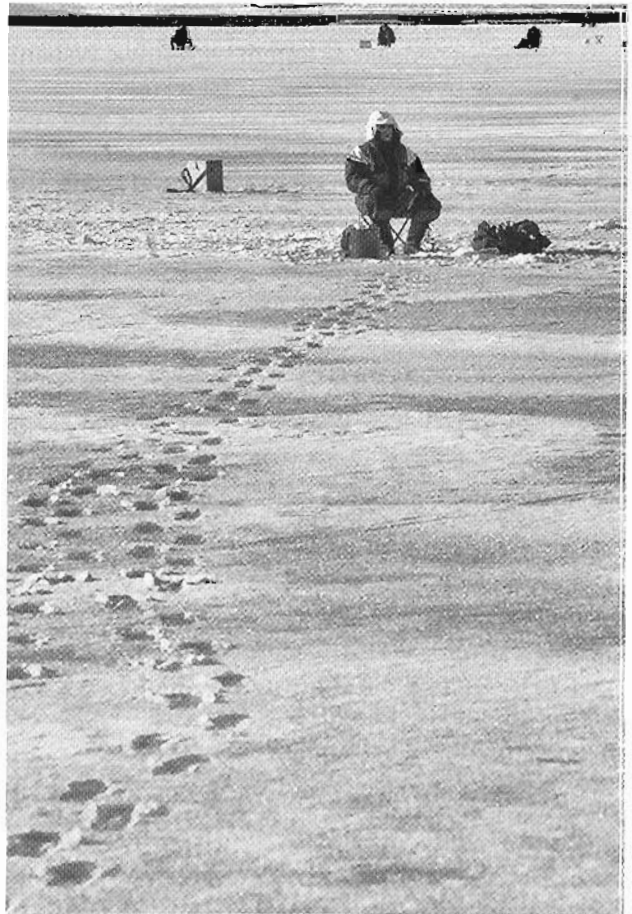
Właśnie się obudził i poczuł zimno. Już październik. Powinien był założyć piżamę, ale jakoś nie chce się pogodzić ze zwycięstwem długiej i ciemnej jesieni. Kiedyś poszukałby pod prześcieradłem ciała swojej żony, objęłaby go i zasnęłyby pod jej okryciem. Teraz ten pomysł już go nie kusił. Nie czuje też impulsu szukania jej stóp swoimi stopami. To była ulubiona zabawa ich obojga: cztery stopy szukające się w ciepłym półcieniu łóżka, bawiące się w łaskotki jak para szczeniaków. Dziś wie, że kiedy to zamierza, żona z pewnością odsunie się z pomrukiem niezadowolenia. Poza tym ma wrażenie, jakby jej stopy utraciły ciepło tamtego okresu. Czasem dotyka ich przypadkiem i wydają mu się jak dwa kawałki marmuru. Słyszy ją pochrapującą u swojego boku z jakimś ostrym i świszczącym odgłosem, jak para ulatująca z szybkowaru. Jest w najgłębszym śnie. Woli jej nie przeszkadzać. Wstaje i po omacku szuka kłapek i szlafroka. Wstrząsa nim zimno. Okno zamknięte na głucho. Widzi pokój pobrużdżony smugami powietrza, jakby go zamieszkiwały zjawy. Wrażenie zimna narasta, kiedy wędruje po ciemku korytarzem. Do perfekcji zna każdy centymetr swojego mieszkania. Nawet w snach mógłby go przemierzyć o nic się nie potykając. Ale ciemność, ledwie rozróżnialna i podkreślona łagodnym światłem czerwieni z ulicy jest tej nocy tak gęsta, iż cienie wydają się bliskie połączenia w zwarte ciała. Kiedy więc idzie korytarzem, wyciąga przed siebie prawą rękę tak samo jak ślepiec pozbawiony laski. Po lewej stronie sonduje ścianę i odlicza otwory drzwi, jedno drugie, trzecie... aż dochodzi do kuchni.

Nie powinien był tyle pić. Tym samym przynajmniej by sobie zaoszczędził tego pragnienia, które go pali, tego smaku zgnilizny, który wypełnia usta, kiedy budzi się w połowie nocy. Otwiera lodówkę, a w twarz bije zimny podmuch przesycony zapachem pleśni. Wypija pół litra zmrożonej wody i przypomina sobie, że za mło-

du nigdy nie budził się w środku nocy. Wtedy jego sen był głębokim, jednolitym i czarnym okresem przeciągającym się aż do rana. Teraz noc jest dla niego ciągiem zmian, krótkich epizodów niespokojnego snu, przeplatanych dusznościami. A każdy epizod udręki nie jest niczym innym jak wstępem do nowego kryzysu bezsenności. Raz skonsultował to ze swoim lekarzem. Zapisał mu środek nasenny, lecz ulotka przestrzegła przed zażywaniem z alkoholem, więc zdecydował się go nie brać. Zimna woda wywołuje u niego bolesne klucie w zepsutym zębie. Jęczy. Potem idzie do łazienki. W połowie drogi dzwoni telefon.

Wzdryga się. Serce zaczyna mocno uderzać.

Wali o żebra jak werbel, aż w gardle może



Grzegorz Pawlak

wyczuć puls. Nie ma bardziej zło-wróźbnego odgłosu – myśli – niż telefon dzwiczący w połowie nocy. Czwarta nad ranem (nie popatrzył na zegarek, ale alkohol zawsze budzi go gdzieś o tej porze). Najlepiej nie odpowiadać. Z całą pewnością chodzi o jakiegoś dumnia, który się pomylił. Ale dźwięk telefonu trwa i staje się coraz bardziej natarczywy. Żona się obudzi i poprosi o wyjaśnienia. Biegnie do telefonu i podnosi słuchawkę, nic nie mówiąc.

- Antonio? - słyszy pytanie. To kobiecy głos, młody, oczekujący. Szykuje się, żeby odpowiedzieć, że pomyliła numer. Myśli, by dodać jeszcze jakiś komentarz o nieprzyzwoitości, dzwoniąc do ludzi o czwartej nad ranem. Ale ona nie przestaje mówić.
- Kochanie - mówi - wiem, że tam jesteś, słyszę twój oddech. Nic nie mów. Jeszcze czuję cię obok siebie. Zdaje się, że nie wyszedłeś, że jesteś jeszcze ze mną, pokrywając mnie pocałunkami i pieścizotami. Nie, nic nie mów. Chciałam ci tylko podziękować i powiedzieć, że jestem szczęśliwa. Wspaniale było kochać się z tobą tej nocy.

Powoli odwiesza słuchawkę, słysząc jeszcze głos dziewczyny jak słodkie oddalające się belcanto. Wstydem płonie mu twarz. Dłu-

go patrzy na telefon. Zdaje sobie sprawę, że czeka pragnąc, by znów zadzwoniła. Nic się nie dzieje. Wtedy spogląda w dół i widzi smutną erekcję, wychylającą się spod fałd szlafroka.

Paczka papierosów jest schowana za piątym tomem encyklopedii. Zostawił ją tam przed rokiem, kiedy przestał palić, myśląc, że to będzie dobry sprawdzian jego siły woli. Wyciąga papierosa, wkłada go do ust i odbiera go jak obce ciało. W jednej chwili zaczyna się ślinić. Zapalka płonie z trzaskiem i z małym toksycznym obłoczkiem. I kiedy jest o krok od zapalenia, myśli, że lepiej wyjść na balkon, bo nie chce, żeby żona złościła się na niego, wyczuwając zapach nikotyny.

Zimno na dworze jest nie do zniesienia, więc raptownie zaczyna drzeć, ale to nieważne. W końcu zapala i głęboko się zaciąga. Dym powoduje delikatny zawrót głowy, spokojne uczucie rezygnacji. Opiera łokcie na balustradzie i pali w ciszy, przypominając sobie głos i słowa dziewczyny.

Na innych balkonach i w oknach jak chmara jesiennych światełków rozbłyskują zarem dziesiątki papierosów.

